

Tomasz Juchniewicz

## Droga z domu do domu

Idę, idę... mógłbym nie iść dzisiaj, mógłbym zostać, opatulić się tłuszczem albo pleśnią i dogadzać sobie leniwym, błogim bezruchem. Ale muszę iść, droga mnie wzywa, słyszę jakby dzwony. Tam się dzieją moje sprawy, tam się sączy esencja. Idę więc, a droga, wciąż ta sama, objawia mi się w coraz to nowej scenerii: złana deszczem, obsypana liśćmi albo skuta lodem. Chciałbym o tym opowiedzieć, o drodze, którą przemierzam od dziesiątek, a może setek lat. O drodze, która tak mocno spłotła się z moim życiem, że mówiąc o jednym nie mógłbym pominąć drugiego, a często też mówiąc o jednym, mówię jednocześnie o drugim.

Droga to odcinek łączący dwa punkty. Poruszam się po nim w obie strony. Ma się rozumieć, że dla mnie jest czymś więcej niż odcinkiem między A i B, ale próbuję to przedstawić schematycznie póki co. Całą długość odcinka wypadałoby opisać dodatkowymi punktami, ponieważ jest kilka istotnych przystanków albo raczej etapów drogi, które określam jako: miasteczko, łąki, rzeka, torowisko, zakłady, ulica, las. Natomiast punkt wyjściowy, jak i ten, który stanowi cel wędrówki, nazywam latarniami, które jednakowo są mi domem. Zwykle startuję z latarni nr 1 do latarni nr 2, po czym powracam na noc do latarni numer 1. Tak czy siak, zawsze, bez względu na kierunek w którym podążam, jest to droga do domu.

Latarnia 1 – Miasteczko – Łąki – Rzeka – Torowisko – Zakłady – Ulica – Las – Latarnia 2

Latarnia nr 1 to moja pracownia i forteca, moja nora, mój schron. Tu się chowam, tu się zbroję, liżę rany po złych przygodach i gromadzę siły. Stąd wypuszczam się w teren.

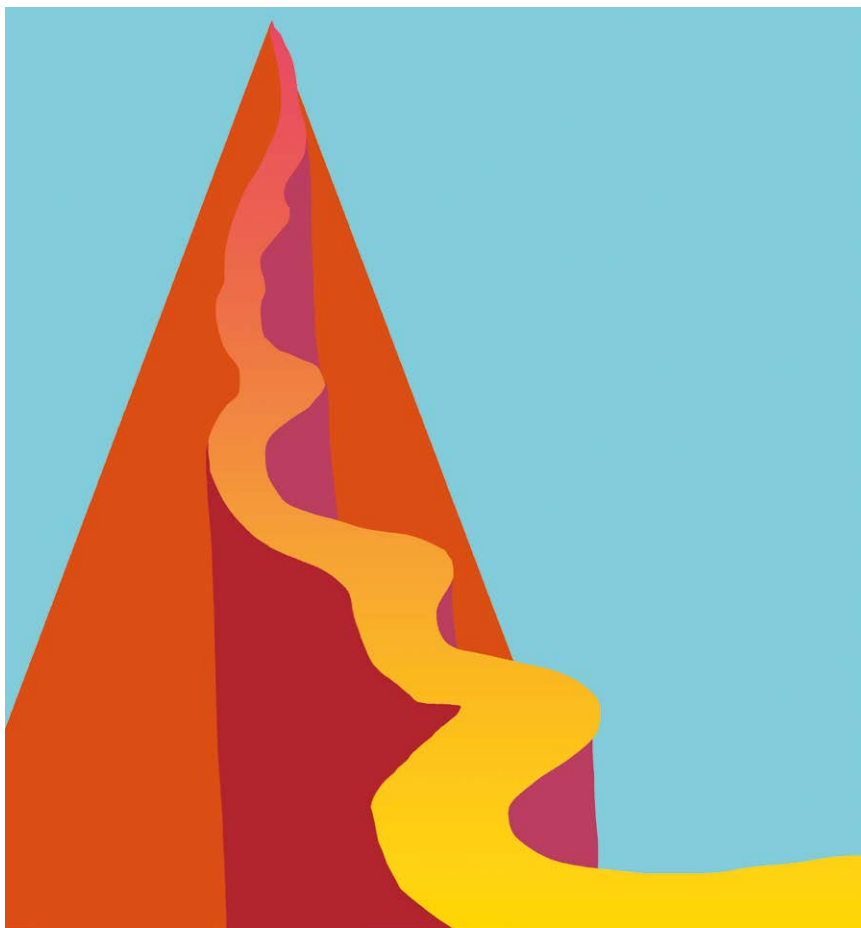
A gdy już się wypuszczę, staję na wprost miasteczka, mam je przed sobą ustrojone kominami, reklamami i antenami. Bloki się pasą, okna biją blaskiem słonecznym, samochody paradują obwożąc swoją blachę i gumę. Muszę minąć to wszystko, zanim znajdę się w gąszczu na łąkach (tak to się mówi w miasteczku: „na łąkach”, „na łąki”), mijam więc, nie patrząc wokół, lecz przed siebie, w stronę linii lasu na horyzoncie, a kolorowe sklepy, szyldy i przystanki zlewają się i śmigają jak tęcze po obu stronach.

Opuszczam szybko teren zabudowany, zagospodarowany betonem, szkłem, plastikiem i ludźmi. Wchodzę na łąki albo raczej w łąki, bo wchodzi się w rozkołysane trawy jak do wody i płynie aż do rzeki, dzielącej ten obszar na dwie części. Przez rzekę prowadzi kładka. Można na niej przystanąć i popatrzeć z wysokości, na przykład na pływające kaczkę. Są i tacy, którzy strzelają z kładki do kaczek, ale nie z okrucieństwa chyba, raczej dla sportu, rozrywki, czyli szeroko pojętej kultury. Ja tam się kaczek na razie nie czepiam, chociaż sposób patrzenia na żywą istotę jak na posiłek nie jest mi obcy.

Za rzeką rozpościerają się dalsze połacie łąk, a w nich skryta obfitość jaszczurek, bażantów, kuropatw, dzikich owoców i myszy polnych. Zwłaszcza latem widać to tętniące życie, słychać trzepot skrzydeł nisko nad trawami, głuchy odgłos spadających w zieloność owoców, nawoływanie bażantów, a cała pomniejsza hałastrza czmycha spod nóg idącego.

Życie zanika przy torowisku. Znika też zieloność. Tu podłoże jest czarne od mialu. Czarne i twarde jak gliniana polepa. Miał wysypuje się z wagonów przejeżdżających lub zatrzymujących się pociągów. Czasem jest podbierany przez nocnych podbieraczy. Oni też sporo rozsypują, stąd tyle czerni wokół. Spotykają się w tym miejscu tory, biegnące z różnych stron, trudno powiedzieć skąd i dokąd, przecinają po skosie, płaczą się i biegną dalej, każdy w swoim kierunku. Gdzieś indziej oddalone od siebie, tutaj układają się w porządek wspólnych zawiłości. Nie wolno tędy przechodzić, grozi za to kara. Nie wolno pętać się po torowisku. Zdarza się, że władze przycazone dybią na przechodniów za pagórkami, chcąc przyłapać ich na gorącym uczynku. Ale tędy właśnie prowadzi droga i należy tędy iść, więc idę.

Aby przebrnąć przez torowisko, trzeba poradzić sobie jakoś z wagonami, które stoją często samopas, bez lokomotyw, zagradzając drogę. Można to zrobić przeczolgując się dołem, między kołami albo przejść górą, po zderzakach, w miejscu łączenia wagonów. Dołem lepiej nie. Lokomotywy nie ma i pociąg nie ruszy, nic na to nie wskazuje, ale zabobonne obawy, przecucia,



Julia Kulikowska / PLSP w Supraślu

instynkty podpowiadają, żeby dołem nie przechodzić. Górą zawsze różniej.

A potem przez zakłady – to ogólna nazwa na skup złomu, hurtownię części elektrycznych, fabrykę butów i spalarnię włók. Wąska uliczka, którą idę, wiedzie poprzez owe zakłady i prowadzi wprost do lasu. Z lewej i z prawej strony rozbrzmiewa donośne stereo: zardzewiały zgrzyt żelastwa ładowanego na wagę, szybki stukot maszyn fabrycznych, przypominający seryjne wystrzały z automatu, zakładowy świst, brzęk, skrzyp i posępne milczenie spalarni. Panoszy się tu gęsty dym z palonych opon, psy łańcuchowe zdzierają gardła, a to wszystko jest mi w smak i towarzyszy mi w marszu jak pieśń obskurna, jak psalm z czeluści. Idę, a dłonie mam umorusane węglem i smarem od wagonów po przebyty torowisku.

Dalej jest ulica. Oddziela hałaśliwy bałagan, który mam już za sobą, od cichego i pachnącego lasu. Już z oddali

rysował się linią wierzchołków najwyższych drzew, poszarpaną, nierównomierną, przypominającą wykres kardiografu. Teraz stoi przede mną okazały, a raczej ja stoję przed nim jak najmarniejszy lennik, składający hołd. Sama ulica również jest ważna, jako granica, jako miejsce, gdzie ocierają się o siebie wymiary.

A spacerować tą ulicą, wzdłuż wysokich i smukłych topoli, to tak jakby sunąć kanionem nieznanym, jakby chodzić na krawędzi, ale spokojnie, bez strachu. Podobnie jak wtedy, gdy wynurzamy się z głębokiego snu, czy to mętnego i nieprzyjemnego, czy też ciekawego, choć zawiłego i czujemy jak rozplywa się cała senna logika. Już za chwilę zbudzimy się, wszystko okaże się bzdurą, o jakiej nie pamiętamy po pierwszym, porannym spojrzeniu w okno. Ale teraz jeszcze śnimy, jeszcze jesteśmy tu, w marach, w odmętach, zaangażowani w urojoną fabułę i tkwiący w jej prawidłach. Chociaż już

czujemy, że wszystko jest nietrwale, nieśmiało podajemy w wątpliwość, już poprzez głębiny dociera do nas przebudzenie, już zza kurtyny się wychyla i rośnie w nas pewność, że wszystko jest mrzonką. Że nie ma się czego bać.

Tak jak to było z Alicją. Błądziła wśród niedorzeczności, trochę zabawnych, trochę niepokojących, a w ostatnich chwilach towarzyszył jej strach przed okrutną królową i jej gwardią, strach przed ścięciem. Aż do momentu, gdy sen był tak skrajny, tak napięty, że został ujawniony. Czego się bać? Tali kart? Karcianej królowej, która grozi śmiercią? Bzdura! – powiedziała Alicja i złamała nieodwracalnie strukturę absurdu, zdemaskowała sen. Obudziła się w ogrodzie, pośród spadających liści.

Takie są spaceru ulicą na granicy lasu. Na granicy przebudzenia.

Ściana lasu jest zielona wiosną, a zimą wygląda jak szary wysoki mur. Topole stoją na straży przez cały rok, tworząc

palisadę z ciasno zbitych pni. Można tam jednak wejść, trzeba tylko zbliżyć się i wypatrzeć lukę, wnękę, tajemne przejście. Szara lub zielona ściana stoi nieruchomo aż do jesieni, kiedy coś tam zaczyna się poruszać, szemrać, błyskać, aż wreszcie strzela po oczach wszystkimi kolorami października i sypią się liście jak u Alicji.

Przyleśna ulica graniczna mogłaby nosić nazwę „Przyleśna” albo „Graniczna”, ale nazywa się inaczej, zresztą różnie, raz tak, raz siak, ciągle zmieniają. Jest mało ruchliwa, przeważnie pusta, jakby istniała tylko po to, by oddzielać jeden wymiar od drugiego. Czuje się wyraźnie tę odmienność światów już po wejściu do lasu.

A w lesie? Ho, ho! Długo by o tym. Innym razem. Teraz wspomnę tylko, że las jest właściwym miejscem. Dalej więc, w półmroku, chłodzie i cieniu gałęzi przemykam cicho i z szacunkiem do otoczenia. Pokora jest w lesie potrzebna i trzeba ją sobie wypracować, a gdy się już ją wypracuje, wtedy wchodzi się tam nie jako zdobywca, niszczytel, a jako uczestnik życiodajnej symbiozy, który z igły sosnowej potrafi wysączyć dawkę energii na dalszą podróż. Las staje się wówczas dyskretnym sprzymierzeńcem i mruga odtąd przyjaźnie niezliczoną ilością zazielenień.

Gdy opuszczam las, widok mi się rozjaśnia. Stąd już tylko krótka aleja, pachnąca jaśminem i czeremchą, a zimą żywicą sosnową. I tak docieram do celu. Staję u progu latarni nr 2.

Robinson miał swój York i swoją willę letnią, to podobnie jak ja, tyle że letnia willa, czyli latarnia nr 2, czynna jest

o każdej porze roku. Jest to więc również willa zimowa, gdzie można uraczyć się na przykład kanapką ze smalcem. I myślę, że to dobrze. Dobrze mieć dwa miejsca bliskie sercu i podróżować z jednego do drugiego. To uzasadnia ruch, dążenie do celu, tak istotne w życiu.

Moja droga łączy więc dwa miejsca, jak przewód krwioobiegu, żyła lub tętnica, łącząca dwa wspólnie bijące serca. Tam i z powrotem. Samą drogę też skłonny jestem nazwać latarnią. Do tego stopnia się z nią zżyłem, zespoliłem. Nie z drogą w ogólnym pojęciu, nie z podróżowaniem, poetycko powiewającą apaszką, ale z tą konkretną – od latarni do latarni. Choć z tułactwem nie jest mi tak znowu zupełnie nie po drodze. Poniekąd uprawiam, owszem praktykuję, ale nie światowe tułactwo, tylko małe, regionalne powsinóstwo. A na obu biegunach mojego świata – dwie latarnie – nigdy nie śpią, zawsze czuwają i oczekują. Dostrzegalne z najdalszych manowców. To do nich wiedzie nieustannie żywa busola wbudowana w korpus. Do nich zawsze kieruje się umęczony wędrowiec. Gdziekolwiek by się znalazł, zawsze do którejś ma bliżej niż dalej, zawsze jest powód, by brnąć przez zawieruchy, szlabany, zasieki i wydeptywać swoją własną bruzdę, wytyczać ścieżkę pośród innych, cudzych ścieżek, krętych, prostych, różnorodnych.

Idę, idę, a droga wciąż ta sama. Niech więc trawi kolejną parę butów i niech los pozwoli mi przedzierać się przez deszcze, śniegi, babie lata, ukropy, niech się toczą pory roku, cykle, mandale, kołowroty – tą samą drogą. Ścierają się podeszwy, skóra i kości. Ścieram się w proch i zetnę się do cna, zostawiając echo kroków.

## TOMASZ JUCHNIEWICZ

– urodzony w 1981 r. Autor tomiku poetyckiego *Otulisko* (2014). Publikował m.in. w internetowych magazynach „Kwartalnik” i „Helikopter”. Autor tekstów i muzyki zespołów Mir i Zwierzę Natchnione.